№ 2. Warszawa, dnia 27 Grudnia (8 Stycznia) 1886/7 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

TRESC: Z literatury bieżącej. — Mamo! (wiersz). — Nad przepaścią (nowelka). — Nowe pisma. — Kronika paryzka. — Teatr. — Wiadomości z pod naszej strzechy i z obczyzny. — Z dziedziny humorystycznej. W Dodatku: Duma arystokratki (arkusz 2).

## Z LITERATURY BIEŻĄCEJ.

### A. E. ODYŃCA

Wspomnienia z przeszłości, opowiedziane Deotymie.

Dwa lata minęły już od zgonu męża sędziwego, który sam jeden jeszcze żył pomiędzy nami, jako świadek i jeden z działaczów epoki ubiegłej, tak dawnej, a pod każdym względem od czasów dzisiejszych odmiennej, że aż wierzyć się nie chce, iż patrzaliśmy własnemi oczami na Odyńca, który musiał chyba liczyć sobie lata matuzalowe... Któż nie widział lub nie znał Odyńca, gdziekolwiek ten zamieszkiwał? Kto przynajmniej nie słyszał jego nazwiska na całym obszarze mowy polskiej? Nikt zapewne, bo wszyscy wiedzą o Mickiewiczu, a zatem i o Odyńcu, najwierniejszym jego przyjacielu. Nadto Odyniec był przyjacielem nietylko wiekopomnego Adama, ale wszystkich, bez wyjątku, osobistości, które w ciągu półwieku i dawniej jeszcze zasłynęły w dziedzinie słowa lub sztuki polskiej, wszystkich, z jakiegokolwiek względu, znakomitych rodaków poprzedniej i dawniejszych jeszcze generacyi. Odyniec bowiem, jak ów dawny Nestor półbajeczny, pamięcią i stosunkami swemi ogarniał trzy pokolenia. Oprócz Mickiewicza i wspólnych kolegów wileńskich: Zana, Czeczota, Malewskiego, Domejki i t. d.; oprócz żyjącej i działającej obecnie generacyi literackiej i artystycznej, Odyńcowi znani byli dobrze lub z nim zaprzyjaźnieni: Brodziński, Lelewel, Pol, Garczyński, Witwicki, Gaszyński, Bohdan Zaleski, Juljusz Słowacki, Zygmunt Krasiński, Szopen, Syrokomla, Klaudyna Potocka i wielu innych, czyli raczej „wszyscy inni". Odyniec posiadał ujmujące przymioty towarzyskie, znał wszystkich i wszystkim był znany, lubił obcowanie światowe, wykwintne towarzystwo i młodzież. Głęboko religijny, odwiecznym zasadom wierny, łagodny, pobłażliwy i uprzejmy, był bez zaprzeczenia osobistością wielce sympatyczną. Jako poeta, był wprawdzie zdolnym tłomaczem utworów obcych, zwłaszcza angielskich, ale geniuszem nie był, ani nawet pierwszorzędnego talentu nie posiadał. Powszechny interes i sympatyą, którą obudzał, sam zawsze z całą skromnością przypisywał swemu stosunkowi z Mickiewiczem: powiadał, że szanowano w nim towarzysza i przyjaciela Adama Mickiewicza, twierdził że jak księżyc od słońca, tak i on świeci światłem pożyczanem od Mickiewicza, odblaskiem jego gen uszu.

Odyniec obdarzony do końca życia wyborną pamięcią, posiadał we wspomnieniach swych niewyczerpaną skarbnicę wiadomości o Mickiewiczu. W ostatnich latach swego życia wydał kilka dzieł, zawierających podobne wiadomości i dzięki jemu, Odyńcowi, obecnie napisanie biografii Mickiewicza, niemożliwe jeszcze przed laty dziesięciu, staje się bliższem urzeczywistnienie (jak tego już praca pana Chmielowskiego dowodzi), dość przypomnieć 4 tomy Listów z podróży, przez Odyńca wspólnie odbytej. Ostatnim z tych przyczynków, ostatniem w ogóle dziełem Odyńca były „Wspomnienia", o których obecnie mówić mamy, tem ważniejsze i ciekawsze, że oprócz szczegółów biograficznych o Mickiewiczu, znajdujemy tu jeszcze przyczynki do biografii wielu innych znakomitości, z których kilka wymieniliśmy powyżej, a także i przyczynki do biografii samego Odyńca (*).

Wspomnienia niniejsze, częściowo już dawniej drukowane w Bibliotece Warszawskiej, Odyniec spisał na prośbę Deotymy; jej też poświęcił swą

---

(*) Sprawozdanie o Wspomnieniach Odyńca, ułożone było dla Tygodnika zaraz po wyjściu z druku tej książki, ale przypadkiem zaginęło i trzeba było napisać je powtórnie, ztąd pewne opóźnienie.

(*Przyp. Red.*)

książkę, położywszy na czele następujący czterowiersz:

Siłą tylko twej woli i twego natchnienia,
Mogłem z grobu przyjaciół zebrać te wspomnienia.
Przyjmij je ku ich chwale, jak pomnik ostatni,
Czci mej dla cię serdecznej i przyjaźni bratniej.

Antoni Edward Odyniec urodził się roku 1804 w Giejsztunach, powiecie Oszmiańskim, w domu szlacheckim, średniej zamożności. Wspomnienia autora o rodzinie i pierwszych latach dziecińetwa są tu dosyć skąpe, zapewne w skutek właściwej zawsze Odyńcowy skromności, która nie pozwalała mu siebie i swoich wysuwać na plan pierwszy. Wychowanie pierwiastkowe, od którego najczęściej zależy kierunek charakteru, mogło wówczas w dworkach szlachty litewskiej rozwijać się poważnie i swobodnie. Trudno dziś nam wyobrazić sobie dokładnie stan obywatelstwa ówczesnego, tak niepodobny pod każdym względem do dzisiejszego: dosyć będzie, gdy powiemy, że pomimo klęsk i przewrotów krajowych, na Litwie panował wtedy dobrobyt powszechny; z nielicznemi wyjątkami, każdy „mierzył się swoją piędzią," kogo nie stać było na niedźwiedzie, ten chodził w kożuchu, pan na kilkunastu włókach ziemi nie wysilał się na cugi i karety, lecz jeździł „nejtyczanką", za to nie było słychać o „niewoli hebrajskiej", o subhastacyach i wywłaszczeniach, a na potrzeby niezbędne i na czarną godzinę znalazło się zawsze w trzosie dosyć „karbowańców", a nawet „imperyałów". Prawda, że robocizna nic nie kosztowała, bo istniało jeszcze poddaństwo, ale pan musiał troszczyć się i z nielicznemi wyjątkami, istotnie troszczył się o swych chłopów, karmił ich w latach nieurodzaju, kupował im sprzężaj i bydło, płacił za nich podatki i niedopuszał przepijania chudoby i zapijania się na śmierć.

W domu panował obyczaj poważny, na życie zapatrywano się seryo, pielęgnowano uczucia religijne i rodzinne, czczono naukę, interesowano się żywo literaturą, wspierano ubogie jej początki. W stosunkach sąsiedzkich starodawna niewyszukana gościnność i tradycyjne braterstwo szlachty, nie były jeszcze ustąpiły miejsca późniejszej ostentacyjnej próżności, wyrachowanemu egoizmowi, podstępnym rachubom wyzyskiwania, sztywnej obojętności lub dumnemu lekceważeniu.

Takie rysy z życia szlacheckiego na Litwie w pierwszej połowie bieżącego stulecia piszący te słowa, zna ze wspomnień własnych; można je też odnaleźć np. w Obrazach litewskich Ignacego Chodźki, a także i w niniejszych Wspomnieniach Odyńca.

Antoni Edward aż do zgonu był zapalonym wielbicielem płci pięknej. Ze „Wspomnień" dowiadujemy się, że kochał się po raz pierwszy, mając lat 7, podobnie jak wielki poeta włoski Dante. Przedmiotem tego dziecinnego uczucia była panna Małgorzata Kuncewiczówna, a gdy ta wkrótce wyszła za mąż za Wojewódzkiego, mały Odyniec był niepocieszony w swej zazdrości i żalu.

Wtedy to właśnie ojciec oddał go na naukę do sąsiadów Skrzydlewskich. Było bowiem wtedy w obyczaju, że w domach zamożniejszych, które mogły utrzymywać guwernerów i guwernantki, gdzie były fortepian i książki szkolne (o które nie było wtedy łatwo), przyjmowano dzieci sąsiadów do wspólnej nauki z własnemi, ale nie za pieniądze, lecz z obowiązku obywatelskiego i przez uczynność sąsiedzką. Takich szkółek po dworach szlacheckich było pełno, gdyż edukacya pierwotna była wtedy wyłącznie prywatną. Zachowywało się przytem, chociaż już w miniaturze, staropolski obyczaj nabywania poloru na „dworach" możnych panów, gdyż chłopcy i panienki uboższe, w domu mniej starannie wychowane, w domach zamożnych nabywali ogłady towarzyskiej, obywali się z ludźmi, poznawali od lat wczesnych świat, w którym życie mieli spędzić.

W domu Skrzydlewskich wrażliwe od dzieciństwa serce przyszłego poety zapałało powtórnie: ośmioletni chłopiec zakochał się w 17 letniej pannie Reginie.

Podpatrzywszy raz, jak guwerner Baranowicz pisał wiersze do swego ideału, panny Zofii Korejwianki, Odyniec począł go naśladować i zaczął układać poezye do panny Reginy. Nauczyciel zachęcał ucznia i pomagał mu nawet w tym praktycznym kursie poetyki (pisanie wierszy było wtedy na Litwie powszechną modą); ponieważ zaś mały Antoni Edward nie był jeszcze zbyt mocnym w pisaniu, dyktował więc swe utwory albo Baranowiczowi, albo samej pannie Reginie, siedząc u jej nóg i patrząc w jej oczy. Młodociany poeta porwał się nawet wkrótce potem na utwór większych rozmiarów, zapoznawszy się z Myszejdą Krasickiego i poduczywszy się już pisać, rozpoczął poemat „Pigmeidę".

Tymczasem nastał rok 1812, rok wojny, urodzaju i nadziei, jak go nazywa Mickiewicz. Przez rodzinny Odyńca zakątek prowadziły drogi, któremi mocarz i bohater wieku dążył od Niemna ku północy, gdzie miała pobladnąć jego gwiazda. Niektóre oddziały wielkiej armii Napoleona zawadziły o dworek rodziców Odyńca, z dziecinnych swych wrażeń owego roku, poeta zapamiętał najlepiej Kozłowskiego, żołnierza legii nadwiślańskiej, który ochraniał dom jego rodziców od pospolitych wtedy nadużyć żołdaków, a przytem bawił małego Antoniego Edwarda, opowiadaniami z będącej wtedy jeszcze w toku epopei napoleońskiej. Od tego to starego wiarusa poraz pierwszy usłyszał nasz przyszły poeta historyą zwycięztw Bonapartego oraz opowieści o Samo-Sierze, Raszynie i ks. Józefie.

W roku następnym Antoniego Edwarda oddano do szkół, utrzymywanych w Borunach przez księży Bazylianów. Szkoły zakonne, utrzymywane wtedy na Litwie i Białej Rusi przez Jezuitów, Pijarów, Dominikanów i Bazylianów, zastępowały dzisiejsze gimnazya i przygotowywały do uniwersytetu młodzież, która pierwotną edukacyą pobierała w domu.

Modą jest dzisiaj na wspomnienie owych szkół, utrzymywanych przez „mnichów" wzruszać pogardliwie ramionami, mrucząc, w myśl nowoczesnego „postępu" coś o „zabytkach średniowiecznych", fanatyzmie, zacofaniu i t. d. A jednak owe szkoły zakonne nie musiały być tak złe, skoro wyszło z nich tylu uczonych i ludzi znakomitych pod każdym względem: bo chociaż geniuszu nie można nabyć w żadnej szkole ani też całego późniejszego zasobu uczoności, wszelako jest rzeczą pewną, że pierwsze podstawy nauki są najważniejsze z drugiej zaś strony szkoły duchowne wywierały wpływ zbawienny na rozwój charakteru, bez którego nie masz ani uczonego ani geniusza!

Prawda, że zakonnicy wychowywali młodzież w duchu religijnym i katolickim (trudno bowiem żądać od nich, aby trzymali się kierunku innego prawda że zanadto podnosili znaczenie obrzędów zewnętrznych, że niekiedy może zaszczepiali przesadną bigoteryą i martwy dewotyzm, który rzadko idzie w parze z zacnością praktyczną, ale te i podobne zboczenia nie były przecież regułą, lecz stanowiły wyjątek. Szkodliwy zaś żywioł wpływów szkoły zakonnej równoważył się, a nawet znikał przed żywiołem zbawiennym, a mianowicie stosunkiem nauczycieli do uczniów i wypływającym z niego stanem karności o których dziś, gdy to wszystko ma się inaczej, zaledwie słabe wyobrażenie możemy sobie utworzyć. Dziatwa uczyła się wówczas w domu szanować religią i księży, w szkole widziała te same osobistości u ołtarza, na mównicy i na katedrze: ztąd łatwo można pojąć, jaką wagę musiały mieć dla młodzieży wykłady, rady i przestrogi takich nauczycieli, zwłaszcza jeżeli ci, co najczęściej bywało, świecili sami nauką i przykładem. Taka szkoła była niejako cząstką nierozdzielną kościoła, nauka sprawą religijną zresztą, co do stanu nauk w tych szkołach, nie był on wtedy „średniowiecznym i zacofanym", gdyż szkoły te zostawały pod dozorem i kierunkiem świetnego wówczas uniwersytetu wileńskiego. Zapatrując się z tego, bezstronnego jak mniemam, punktu, zrozumiemy łatwo tę rzewność serdeczną, z jaką sędziwi a nieliczni już dziś wychowańcy owych dawnych szkół zakonnych, wspominają o latach które tam spędzili. Nie dziwi więc nas, że i Odyniec w sympatycznych barwach maluje nam szkołę boruńską.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

## MAMO!

Drobna dziecina,
Gdy żyć zaczyna,
Zaczem w krąg szerszy
Wejdzie istnienia,
Zaczem w lat wiośnie,
Zmężnieje, wzrośnie,
Z serca natchnienia,
Wyraz najpierwszy
Wyrzecze samo:
Mamo!

To pierwsze słowo
Dziecięcą mową,
Wypowiedziane,
W ustach pieszczotki
Ma dźwięk tak słodki,
Takie nieznane
W sercach u ludzi,
Rozkosze budzi,
Że przez to samo,
Daje odrazu
Szczęścia marzenie,
Wypowiedzenie
Tego wyrazu:
Mamo!

Troskę matczyną,
Łzy które płyną,
Smutek niewczesny,
Rozpacz, katusze,
Co gnębią duszę,
W chwili bolesnej,
Żalem bezwiednym,

Znikną tak samo,
Przy słowie jednem:
Mamo!

Dla rodzicielki,
Nad urok wszelki,
Ptasząt piosenki,
Nad kwiatów wonie,
Słońca co płonie,
Milsze to dźwięki.
Ona szczęśliwa,
W niemem zachwycie,
Rajem nazywa
Ciężkie swe życie,
Kiedy wśród ciszy,
Pierwszy raz słyszy,
Zostawszy samą,
Od swej pieszczotki,
Ten wyraz słodki...
Mamo!

*Ludwik Niemojowski.*

---

# NAD PRZEPAŚCIĄ.

NOWELKA

PRZEZ

Bronisławę K.

(Dalszy ciąg.)

— Kiedy uważasz, że to zdrowo dla mnie, muszę więcej odtąd używać ruchu.

— Śliczne postanowienie — dodał mąż, całując ją w czoło. Ale do widzenia moja duszko śpieszę się gdyż chciałbym jeszcze rozmówić się z rządcą.

Po jego odejściu Marya skierowała się na drogę, śnieg chrupał pod jej nogami, a dzieciaki wiejskie, stojąc na progu sieni lub też wyglądając przez małe, zakopcone szyby w oknach, z ciekawością przypatrywały się pięknej dziedziczce, którą widywały tylko niekiedy jadącą w pięknym powozie.

Marya szła zwolna, oglądając się na wszystkie strony, jak ktoś, któremu wcale niepilno i który idzie bez żadnego celu, tak sobie oto dla zabicia czasu.

Doszła tak do końca wsi i na zakręcie drogi zawachała się; tam pod lasem stała chałupka w której mieszkała chora obecnie Łukaszowa. Marya dziś nawet nie spytała o nią; możeby teraz pójść do niej? pomyślała. Niewiadomo, litość czy ciekawość wywołana wczorajszą rozmową z panem Alfonsem, popchnęła ją do tego kroku.

W dusznej i przyciemnionej izbie, na ubogim łóżku leżała niemłoda już kobieta, która ujrzawszy wchodzącą uniosła się z poduszek raczej przestraszona niż uradowana; Marya bowiem nie miała zwyczaju odwiedzania chat wieśniaczych.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — ozwała się Marya.

— Na wieki wieków — odparła kobieta — mój Boże — dodała po chwili z westchnieniem — nie mogę nawet pokłonić się jasnej pani.

— Cóż wam to, moja Łukaszowa?

— Tak jakoś zaniemogłam, Bóg wie co, nie ma siły, człowiek spracowany, ot w tem cała bieda.

— A moja Michalska, czy przyniosła wam tu lekarstwa i wina trochę?

— Przyniosła, przyniosła jasna pani; niech jasnej pani Bóg za to stokrotnie wynagrodzi.

W tej chwili przed chatą rozległ się tentent kopyt końskich i do izby wszedł jakiś mężczyzna.

Marya omal nie krzyknęła, poznawszy pana Alfonsa, ale szczęściem zapanowała nad sobą.

— Moja dobra kobieto — rzekł — czy nie dostałbym tu ognia, cygaro mi zgasło, a nie mam przy sobie zapałek. Ah! to pani — zawołał teraz dopiero niby poznając Maryą — cóż panią tu sprowadziło?

Purpurowy rumieniec oblał lica Maryi; dotąd nigdy nie kłamała, trudno jej więc było powiedzieć iż przyszła jedynie w celu odwiedzenia chorej kobiety. Wstyd ją ogarnął na myśl, że pan Alfons domyślił się może rzeczywistego celu jej wycieczki.

— Wyszłam bez celu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i doszłam aż tutaj — ozwała się Marya po chwili, z pewnem wahaniem w głosie.

Zmięszała się jednak jeszcze bardziej, gdy spojrzawszy na pana Alfonsa dostrzegła na jego ustach tryumfujący uśmieszek.

Gniewna sama na siebie, podniosła się ze stołka i pożegnawszy chorą, wyszła z chaty. Pan Alfons podążył za nią i ująwszy konia za cugle, postępował obok niej, starając się zawiązać rozmowę.

Marya z początku milczała, lecz po chwili widząc, że pan Alfons ani słówkiem nie przypomina wczorajszej rozmowy, ożywiła się nieco.

Na zakręcie drogi pan Alfons pożegnał Maryą, która miała czas jeszcze ochłonąć z doznanego wrażenia zanim powróciła do domu.

Przy obiedzie Kazimierz nie mógł się odchwalić ślicznych rumieńców żony. Pochwała ta silniejszą jeszcze purpurą oblała lica Maryi. Nie wiem jednak dlaczego o spotkaniu z panem Alfonsem nie wspomniała ani słówka.

Nazajutrz Marya sama przypomniała Michalskiej, aby poszła do chorej Łukaszowej i zaniosła jej potrzebne leki, dodając przytem, że jeśli pogoda posłuży odwiedzi ją sama w południe.

Poczciwa sługa ze zdziwieniem wysłuchała rozkazu pani i udała się niezwłocznie do Łukaszowej. W parę godzin później Marya zarzuciwszy futerko i lekką na głowę chusteczkę skierowała się ku chacie pod lasem. Chorą zastała zdrowszą trochę i uszczęśliwioną odwiedzinami jasnej pani.

Wyszedłszy Marya spotkała znów pana Alfonsa, który tym razem pieszo przechadzał się na skraju lasu i dostrzegłszy Maryą pośpieszył za nią.

Marya zadrżała, uczuła w tej chwili całą niewłaściwość swego postępowania. Wkrótce jednak rozmowa pana Alfonsa kazała jej zapomnieć o głosie rozsądku.

— Gdybym wiedział że panią zawsze w tej stronie spotkać mogę — zaczął — cóżby to za szczęście było dla mnie!

— Nie żartuj pan — odparła — jeśli to możesz nazwać szczęściem, nie jesteś zbyt wymagającym.

— Pani starczyłabyś mi za świat cały — szepnął pan Alfons stłumionym głosem.

Marya udała, że nie dosłyszała ostatnich słów Alfonsa, a wskazując na śliczny zimowy krajobraz jaki roztaczał się przed ich wzrokiem, rzekła:

— Patrz pan jak cudownie wyglądają te wzgórza w swej białej, jakby godowej szacie! Jak pięknie odbija wieżyczka kościoła wśród ciemnej zieleni świerków i sosen!

— W istocie, wspaniały widok! — potwierdził Alfons.

Oboje milczeli przez chwilę, poczem Marya odezwała się pierwsza:

— Żegnam pana, muszę już wracać do domu.

— Już, tak prędko? — odpowiedział Alfons — ah! pani nie masz litości nademną. Gdybyś wiedziała ile ja cierpię!

— A cóż ja na pana cierpienia poradzić mogę.

— O! poznawszy dobroć pani wiem, że pocieszyłabyś mnie z pewnością, gdyż jestem bardzo nieszczęśliwy.

— Pan nieszczęśliwy, tak wesoły i rozbawiony? To niepodobna!

— A jednak to szczera prawda. Gdybyś mnie pani chciała wysłuchać, błagam cię miej litość...

— Chętnie uczyniłabym to, ale dłużej już pozostać tu nie mogę, czas wracać do domu.

— A więc przyjdź pani tu jutro, o tej samej godzinie, a oddasz mi wielką przysługę.

Marya zawahała się z odpowiedzią.

— Nie wiem czy będę mogła—odrzekła zwolna choć próżność jej i ciekawość zachęcały ją, aby przychyliła się do żądania pana Alfonsa.

— Jakto, więc pani tak dobra i miłosierna dla innych, nie uczyniłabyś nic, nic dla człowieka pogrążonego w rozpaczy.

— I owszem, chciałabym... ale cóż ja mogę...— odparła zmiękczona już jego prośbą.

— Czyż to tak wielkie poświęcenie, ofiarować komu pół godzinki czasu?

— Niech i tak będzie, przyjdę jutro. Do widzenia — odrzekła Marya, wysuwając rękę z dłoni pana Alfonsa, który ją może zbyt długo przytrzymał.

Wróciwszy do domu, Marya rzuciła się na szeslong, a nieokreślony niepokój zawładnął całą jej istotą. Głos jakiś tajemny mówił jej że źle zrobiła, przystając na schadzkę z panem Alfonsem; tak na schadzkę, gdyż inaczej tego nazwać niepodobna. Cóżby powiedział mąż gdyby przypadkiem dowiedział się o jej postęku? Lepiej może wyznać mu całą prawdę?

Ale czemże usprawiedliwi swoje wczorajsze milczenie? Czyż ma się upokrzyć przed mężem jak winowajczyni, kiedy w rzeczywistości nie zawiniła wcale?

Nie lepiejże nie mówić mu nic wcale, i tylko nie pójść na spotkanie pana Alfonsa? Lecz jeśli ktoś widział ją, gdy na drodze rozmawiała z panem Alfonsem i powie o tem Kazimierzowi? Co ona biedna powie wtedy? Na samą myśl o tem serce jej biło przyspieszonym tętnem, a wystraszona wyobraźnia snuła najprzykszejsze obrazy. Kochała choć nie zbyt gorąco, ale za to bardzo szanowała swego męża i nie była ani złą, ani przewrotną do tego stopnia, aby go wyrachowanie oszukiwać chciała. Jedynie przez próżność przyjmowała hołdy Alfonsa. Z nudów, z braku zajęcia myślała o nim częściej niż była powinna. Ale gdyby jej kto powiedział że zdradza Kazimierza, oburzyłaby się na podobny zarzut. Zazwyczaj po wielkiem wzburzeniu następuje reakcya, tak też i Marya strwożona w pierwszej chwili, zaczęła sobie tłomaczyć, że spotkać kogoś na drodze nie było żadną przecie zbrodnią; że o prośbie pana Alfonsa nikt w świecie prócz nich dwojga nie wiedział i że pan Alfons jako człowiek honorowy, nie zdradziłby tej tajemnicy przed nikim.

Uspokojona temi argumentami usnęła trawiona gorączką ciekawości, z czem to właściwie zwierzy się jutro przed nią pan Alfons.

Nadeszło wreszcie upragnione jutro. Marya była przy śniadaniu milcząca i niewiele odpowiała na rozliczne pytania męża, który radził jej jak z wiosną ogród przyozdobić i urządzić? Zwykle w tych razach zdanie Maryi było wyrocznią, dziś jednak słuchała projektów męża z roztargnieniem, odpowiadając półsłówkami i raz po raz spoglądała ukradkiem na zegar. A! nie nudziła się już teraz tak jak dawniej; była wzruszoną, niespokojną a sama ta trwoga dodawała jeszcze powabu jej tajemniczym wycieczkom, w których nie mogło być przecież żadnego jak jej się zdawało niebezpieczeństwa. Nie była dzieckiem i wiedziała dobrze jakie są granice, których uczciwa kobieta przekroczyć nie może. Ale ten naiwny, pensyonarski romans bawił ją niewymownie. Postanowiła sobie w duchu nie pozwolić Alfonsowi na żadne kompromitujące ją wyznanie, ale jeśliby okazał się jak dotąd dyskretnym, nienadużywającym jej łaski, dlaczegóż nie miałaby niekiedy spotkać się z nim na przechadzce, tak jak spotykała się w salonie?

Uspokoiwszy w ten sposób swoje sumienie Marya w lustrze przygładziła włosy, poprawiła czapeczki futrzanej, następnie zaś szybko puściła się drogą, wiodącą przez wieś do chaty pod lasem. Lecz nie doszła jeszcze do domku Łukaszowej, gdy jakiś głos męzki powitał ją uprzejmem:

— Dzień dobry pani.

Obejrzała się, za nią stał Alfons.

— Pan tu? — zapytała, nie wiedząc prawie co mówi.

— Jakto? czyż pani nie zrobiła mi nadziei, że ją tu czekać mogę?

— Ah! prawda; ale przedewszystkiem muszę odwiedzić Łukaszową.

— Łukaszowa już zdrowsza, może trochę poczekać. Pozostań pani raczej ze mną; opowiem ci smutne bardzo dzieje. Czy raczysz wysłuchać mnie łaskawie?

Marya za całą odpowiedź skinęła tylko głową; czuła się dziwnie wzruszoną i niespokojną. Pan Alfons mówiąc to, skręcił nieznacznie z gościńca, tak że ominęli domek Łukaszowej, idąc laskiem, mało uczęszczaną dróżynką.

— Wyobraź pani sobie męczarnie człowieka, który od kolebki nie zaznał serdeczniejszego uczucia, gdyż wcześnie stracił rodziców. Człowiek ów nieraz sądził że kocha, ale mylił się. Miłość prawdziwa bywa tylko jedna, jedyna w życiu... jak jedno jest słońce na niebie. Nareszcie spotkał kobietę piękną i młodą, ale niestety kobieta ta nie była wolną... była mężatką. Możesz sobie pani wyobrazić katusze tego człowieka! Wie on dobrze iż marzyć nie może o posiadaniu tej kobiety, ale jakże radby usłyszeć z jej ust, że jest mu choć trochę wzajemną.

Marya zmięszana, strwożona nie umiała na razie znaleźć odpowiedzi, nareszcie głosem na pozór spokojnym rzekła:

— Smutne to dzieje w istocie; ale cóż ja, nie znając pańskiego przyjaciela i jego ukochanej, poradzić na to mogę?

— O! znasz ich pani oboje!

— Choćby i tak było, to nie mam prawa mięszać się do spraw cudzych. A zresztą, nie wiem doprawdy czy ów pokrzywdzony przez los biedak zyskałby wiele na mojej interwencyi. Gdybym znała panią jego myśli, radziłabym jej bez wachania, aby go odprawiła z kwitkiem. Chyba że nie dba o opinię, która jest największem dobrem człowieka.

— Taka jest pani rada? — odrzekł zwolna. Przypuśćmy jednak że kobieta ma... życzliwość dla owego człowieka, którego jednak prawo zabrania jej kochać, że bezwiednie okazywała mu to nawet; jak jej wtedy należy postąpić? Czy nie powinna okazać współczucia człowiekowi, który cierpi z jej powodu?

Marya, którą niczem nieusprawiedliwiony kaprys popchnął na tę ślizką i niebezpieczną ścieżkę, uczuła nagle bicie serca i coś jakby litość dla owego nieszczęśliwego, w którym odgadywała pana Alfonsa. Po chwili milczenia odrzekła mniej już pewnym głosem:

— Doprawdy dziwne stawiasz mi pan pytania, a ponieważ widzę że radą żadną służyć nie mogę muszę go więc pożegnać.

— Zaczekaj pani! — zawołał Alfons ujmując jej rękę, którą namiętnie do ust przycisnął. Wiem, że zmienisz zdanie, gdy ci powiem że tym nieszczęśliwym ja jestem, a ubustwianą przezemnie kobietą...

— Przez litość nie kończ pan! — zawołała w nagłem przerażeniu, wyrywając mu rękę którą trzymał w swoich dłoniach. — Nie chcę słyszeć ani słówka więcej!

— O! musisz mnie pani wysłuchać! Dłużej już milczéć mi niepodobna... Od pierwszego na ciebie spojrzenia pokochałem cię namiętnie. Nie dbam o nic na świecie bylebym wiedział, że choć z odrobinę masz dla mnie uczucia... Nie żądam od ciebie poświęceń, nie żądam abyś porzuciła dom, męża, stanowisko w świecie... Pragnę tylko niekiedy pomówić z tobą sam na sam, mieć w tobie siostrę, przyjaciółkę...

Namiętny ton mowy, błyszczące oczy i drżące usta, dały Maryi poznać aż nadto dobrze, że pan Alfons mówił prawdę. Odkrycie to przeraziło ją niezmiernie; przeraziło ją również i to że po gwałtownem biciu serca przekonała się, że nie był jej obojętnym. Jakto, więc to co uważała za niewinną igraszkę, za rozrywkę wśród trapiących ją nudów, miało ją wtrącić na dno przepaści!

Wiedziała dobrze co znaczą zapewnienia przyjaźni w takich razach; zwykle zaczyna się od tego... Stała jak martwa, nie mogąc słowa wymówić, w duszy jej staczała się walka między obowiązkiem, a ponętą zakazanego owocu...

— Milczysz pani, czy to ma być potępiającem dla mnie wyrokiem? — spytał nareszcie Alfons. — Ale nie, na Boga, odtrącić mnie nie możesz, wszak wymagam tak mało. Nie żądam teraz od ciebie odpowiedzi... namyśl się... jutro, pojutrze... odpowiesz mi... Tu w tem samem miejscu czekać będę...

— O! nie, to niepodobna... ja więcej tu już nie przyjdę...

*(Dokończenie nastąpi.)*

# NOWE PISMA.

Gdy rzuciwszy okiem na nader ożywiony ruch publicystyczny, porównamy go z ogólnym zastojem minionego roku, obraz tej pracy mrówczej, niezmordowanej, mimowolną przynosi nam radość.

Gdzie wśród ogólnej biedy, potrafiono zbiorowemi pieniędzmi ogłosić dwanaście konkursów, gdzie wobec widocznego upadku czytelnictwa i niedoboru finansowego istniejących dzienników, sześć nowych pism założono, tam nie może być mowy o spekulacyi pieniężnej, bo znaczna część zabiegów, podjętą została w obywatelskiej myśli służenia ogółowi, w imię szlachetnych marzeń i ideałów. Że sztandar ich nie zawsze w doświadczone i pewne dostał się ręce, temu zaprzeczyć trudno, szczególniej wobec rozkiełznanego doktrynerstwa, wobec szalonej *rage du peuple*, która jednę ze spraw palących i najbardziej leżących nam na sercu, w oczach ogółu ośmieszyć musiała. Ztąd też wśród pism świeżo powstałych, *Głos* jako najstarszy i najszerszem rozbrzmiewający echem, na dłuższy zasługiwałby przegląd, kilkakrotnie już jednak, wypowiedziane o nim zdanie w różnych pismach, uwalnia nas od słów, które za stronnicze mogłyby zostać poczytane. Chcąc uniknąć tego zarzutu, chcąc organ ten oceniać z własnego jego stanowiska, pozwolimy sobie tylko zacytować kilka uwag o nim, wyjętych z pisma również demokratyczno-postępowego, z *Kraju*, który stoi na czele tegoż co *Głos* obozu.

Oto kilka drobnych wyjątków, z bardzo długiego artykułu:

„Z dwóch zgoła obcych sobie istot (chłopskiej duszy i pańskiej duszy), przewodniczką pragnień, dążeń i ideałów *Głosu*, ma być *dusza chłopska*. Przeciwko temu wyborowi, nic by *a priori* nie można było nadmienić, gdyby redaktorowie nowego tygodnika wykazać zdołali, że w duszy chłopskiej, w rzeczy samej istnieją już bogate pokłady dążeń, pragnień i ideałów, społecznych, politycznych, obyczajowych. Ale niestety, sami oni w pierwszem zdaniu, zaprzeczają sobie. Boć, jeżeli lud wszystkie owe dążenia i ideały, musi sobie dopiero uświadomić, to oczywiście dziś jest ich nieświadom, czyli innemi słowy, wcale ich nie posiada."

W obec tego, redakcya *Głosu* pragnąc ludowi przewodniczyć, „znajdzie się względem niego w położeniu zupełnie analogicznem do stanowiska „tych sterników", których „samozwańcze pretensye do kierowania nawą społeczną" *stanowczo potępia*." Mój Boże, samozwańcze, a któż dał w imieniu narodu, mandat do przewodnictwa reformatorom z Ś-to-Krzyzkiej ulicy?

Występując w roli tej, *Głos* znajduje, iż „najbardziej naglącą potrzebą umysłową chłopów, ma być jak najgłębsze i jak najwszechstronniejsze *poznanie wszystkich zagadnień bytu*. Niech czytelnik nie sądzi, że chcemy z niego żartować. Zapewniamy go, że zdanie to stoi jak mur, wydrukowane w N-rze 7 *Głosu*, czcionkami A. Pajewskiego, a podpisane zbiorowo przez całą redakcyą."

Zbijając dalej z nieporównaną logiką „na chłodno zażartą chłopomanię", *Kraj* dowodzi słusznie, iż chłopi są u nas *najliczniejszym*, ale nie *najgłówniejszym* składnikiem społeczności narodowej, oraz że bezwzględna zasada podporządkowania interesów warstw odrębnych, sprzeciwia się wymaganiom sprawiedliwości, postępu, cywilizacyi, naj-

prostszej niekiedy roztropności politycznej. Potępiając fetyszyzm chłopski, obliczony bodaj czy nie na reklamę, tygodnik petersburski kończy: „Adwokatura gminu, w jego cierpieniach, nędzach, dolegliwościach, zatargach i pragnieniach, nietylko nie byłaby nam przeciwną jako pismu, lecz śmiało to utrzymujemy: w wieku XIX nie była ona nigdy obcą przodującym zastępom społeczności naszej.

Gdyby *Głos* poważnie na tę drogę wstąpił, gdyby stał się kompetentnym rzecznikiem interesów ludu, nie mielibyśmy nic do nadmienienia. Byłoby to stokroć pożyteczniejsze, aniżeli lekkomyślne rzucanie takich oto np. w nienawiści poczętych, a grubem nieuctwem tchnących frazesów: „Idziemy do celu, który wy, uganiając się za majakami tradycyi, błądząc w labiryncie praw historycznych, wpatrując się w tysiącoletnią łączność kultury, dawno już straciliście z oczu. Kiedy pozbędziecie się już ziemi, wy sprzedawczyki tradycyjni i tradycyjni marnotrawcy, wystawicie wtedy na targ i *ideały wasze i formy tysiącoletniej kultury*, ale za te *wyblakłe łachmany*, nikt, nawet Niemiec, nic wam nie da, *bo złamanego szeląga nie warta*."

Do słów tych poważnego dla wielu *Kraju*, żadnej od siebie nie dodajemy uwagi, nadmieniając zaś tylko, że dwaj główni założyciele *Głosu* odsunęli się od dalszego jego kierunku, rezerwujemy sobie możność pomówienia o wpływie tej doktrynerskiej *rage de pauple*, na rozwój naszej literatury powieściowej.

Z przeciwnym wręcz programem, ze sztandarem pojednania stronnictw na polu prawdy i piękna, wystąpił tygodnik *Życie*. Działalność jego, ograniczona dotąd do próbnego numeru, nie pozwala na szerszą ocenę, lecz każe powitać życzliwie organ, który ma odwagę zarzucić w imię wyższych ideałów, most zgody między tymi, co pomimo dróg różnych, do tego samego dążą celu i te same czczą bogi. Dość już tych osobistych zawiści i rozsterek, dość rozdwojenia: dziś po 20 latach stronniczej w piśmiennictwie walki, powinnibyśmy nauczyć się szanować wzajemnie swe przekonania i porzucając niesnaski, iść zgodnie ręka w rękę. Niechżeż *Życie*, za inicyatywę tę, zasłużone spotka powodzenie. Bogaty i sympatyczny numer próbny, w zupełności na nie zasługuje.

Trzeci z kolei poważny tygodnik, z prospektu znany dopiero. *Wisła*, poświęcona krajoznawstwu polskiemu z góry już na poklask zasługuje, praca to bowiem będzie obywatelska, a niepopłatna, na szerokie też koło odbiorców, mogłaby liczyć wtedy chyba, gdyby p. Gruszecki utworzywszy nowy typ wydawcy gentlemana i filantropa, do każdego zeszytu dodawał pewną kwotę pieniężną, tom powieści, lub jaki zamorski smakołyk. Proszę się nie śmiać, to rzeczy prawdopodobne, wszak *Echo* daje taką mnogość premii, że to na seryo wygląda na dopłatę dla każdego, kto go czytać zechce, pan Wiktor Czajewski zaś, ogłasza, iż zakładany przez siebie *Tygodnik Powszechny*, będzie rozdawał wszystkim darmo, wyraźnie darmo, byle tylko przyjąć raczyli.

Obywatele i obywatelki, przez litość nie odmawiajcie, wszak prócz czasu, nic was tu kosztować nie będzie, a i ten można zaoszczędzić. Przeczytacie powieść, a nad resztą... niech się tam mozolą pismacy.

---

# KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

---

Z nowym rokiem ukazało się mnóstwo nowych książek, zalecających się już to rzeczywistą wartością, już ozdobnem wydaniem, sprawozdanie z nich zostawiamy do przyszłego miesiąca, a dziś zajmiemy się wyłącznie *Krokodylem*, komedyą Wiktoryna Sardou, która wprowadza w ruch całą prassę paryzką. Zdania o tej sztuce nadzwyczaj podzielone, sama ta różnica sądów, wymownem jest świadectwem walki, toczącej się w tutejszem społeczeństwie. Jedni zaliczają nową komedyę pomiędzy pierwszerzędne utwory autora, tak ze względu na akcyą dramatyczną, jak na rozmaitość typowych postaci, a wreszcie na przepyszną wystawę. Inni znowu lekceważą pogardliwie sztukę wolną od wszelkich skandalicznych sytuacyi, a więc, zdaniem ich bladą i bezbarwną. Która strona przemoże, czas to najlepiej wyjaśni. Co do nas, przekonani jesteśmy, że *Krokodyl* nieprędko ustąpi z repertuaru i doczeka się kilkuset reprezentacyi.

Pobudkę do napisania sztuki, dała autorowi jego czternastoletnia córeczka. Przed dwoma laty, kiedy dramat Teodora podniesiony grą Sahry Bernard, wywoływał głośne oklaski, młodziuchna dzieweczka, chcąc być świadkiem tryumfów ojcowskich, błagała rodziców, aby ją zaprowadzili do teatru. Daremne nalegania, ojciec opierał się stanowczo. W roku zeszłym znów, kiedy Georgetta, ściągała liczne tłumy i obudziła wrzawę dziennikarską, córka błaga na nowo, ojciec opiera się tem silniej.

— Ojcze — zawoła dzieweczka ze łzami — napisz-że taką sztukę, żebym ją widzieć mogła.

Sardou uścisnął córkę, przyrzekł uczynić zadosyć jej chęci, taka oto geneza *Krokodyla*.

Ta scena rodzinna, wyszła za obręb domowych progów, pochwyciły ją dzienniki. Ztąd powstało uprzedzenie, że *Krokodyl*, rodzaj udramatyzowanego Robinsona Kruzoe, napisany wyłącznie dla dzieci. Tak przecież nie jest, pokaże to treść sama. Nie brak tu ani silnej gry uczuć, ani dramatycznych effektów, ani nawet politycznych alluzyi, brak tylko skandalu, bez którego zepsuta część publiczności paryzkiej, dziś niestety, obejść się nie może!

Przytaczamy treść komedyi *Krokodyl*, to olbrzymi statek kompanii holenderskiej, krążący pomiędzy Amsterdamem a chińskiem miastem Hong-Kong.

Na pokładzie, zdaleka od machiny parowej, urządzono dla pasażerów pierwszej klasy, wielki salon pod gołem niebem, zabezpieczony od podzwrotnikowych skwarów, tak dokuczliwych na przestrzeni oceanu Indyjskiego.

W tej istnej arce Noego, zgromadził autor już nie ptaki i zwierzęta, ale typy różnych plemion i narodowości, które odegrają rolę w komedyi. Z kobiet główne miejsce zajmuje tu baronowa Jordaens, matka dwóch młodych panien: Zuzanny i Myrrhy. Przy niej widzimy milionową angielkę miss Chipsick, dziwaczny typ starej panny i towarzyszkę jej Liliannę With, śliczną panienkę z arystokratycznej rodziny holenderskiej, zmuszoną bankructwem ojca do przyjęcia upokarzającego obowiązku. Jest tu jeszcze emancypowana Amerykanka Miss Oliwia Golloper, przebiegająca świat z rewolwerem u pasa i piórem w ręku, jako korespondentka bostońskiego Herolda. Spotykamy również praktyczną Alzatkę panią Stirlej, emigrującą z mężem w kraje zapadłego Wschodu, nakoniec panią Bertholen, zalotną Francuzkę, która towarzyszy mężowi, oplątanemu w handlowe spekulacye.

Liczba mężczyzn większa i rozmaitsza. Francyą przedstawiają trzej podróżni, przemysłowiec Bertholni, Alzatczyk Stirler i Paryżanin czystej krwi hr. Chevvilac, podróżujący dla własnej przyjemności; Belgią reprezentuje doktor Jemmy, deputowany w Izbie, człowiek wesoły, pełen życia; Amerykę przedstawia Absalon, brat panny Oliwii, wyborny typ Jankesa, Holandyą gadatliwy Peterbecqe adwokat panny Chipsick, która ma proces w Batawii, nakoniec młody Ryszard Kolt, główny bohater dramatu. Ten ostatni wsiadł na okręt z biletem drugiej klasy, ale podczas żeglugi uratował tonące dziecię, komendant statku przez wdzięczność, pomieścił go w jednej z pierwszorzędnych kabinek.

Ów Ryszard niebogaty, ale dzielny, młody i dorodny, pozyskał odrazu względy towarzyszów podróży, Jednakże położenie społeczne, zbliża go szczególniej do Liljany Witt, ubogiej panienki, wystawionej ciągle na kaprysy i wymagania panny Chipsick. Wzajemna ich skłonność, objawiła się w rzewnej scenie aktu pierwszego.

Oprócz tych głównych typów, ukazuje się mnóstwo innych, jak młody książę japoński Nono Miki, wracający do kraju z paryzką edukacyą nabytą w teatrach i kawiarniach bulwarowych, jak przewodnik jego mandaryn Phra Subraka, który patrzy z trwogą na ten zewnętrzny polor, pokrywający rzeczywiste zepsucie. Są tu i podrzędne osobistości, gotowe w danej chwili wystąpić na widownię: ajent handlowy z Marsylii Brabion, cieśla hiszpański Montes, marynarz włoski Caprioni, maszynista Arab Sida. Wszystkie więc narodowości, wszystkie szczeble społeczne, wszystkie popędy złe i dobre, przedstawione na pokładzie Krokodyla. W zręcznie prowadzonych rozmowach pomiędzy grupami, autor daje nam poznać charaktery osób, jak niemniej rodzące się uczucia i niechęci. Widać odrazu, że Ryszard Kolt upodobał sobie Liliannę, że piękna panienka życzliwem pogląda nań okiem, że dwie córki baronowej Jordaens zarzuciły sidła na Chevvilaka i Absalona, że panna Oliwia, mimo całego chłodu amerykańskiego, topnieje pod wzrokiem doktora Jemmy.

Zawiść uosobiona tu w postaci awanturnika rodem z Malty nazwiskiem Strapoulos. Chytry ten Grek podejrzywa Ryszarda, że się kryje pod obcem nazwiskiem; odgaduje w nim Jerzego Morgan, poszukiwanego z rozkazu gubernatora Batawii.

Podczas gdy podróżni płyną najspokojniej, gdy młodzież oddaje się słodkiem marzeniom, nagle marynarze poczynają szeptać sobie coś do ucha, kapitan wydaje tajemnicze rozporządzenia. Jakoż Krokodyl zagrożony katastrofą. Pożar wszczął się w głębi parostatku, ogień pochłania składy węgla. Jedyny tylko pozostał sposób ratunku, wypada pasażerom przesiąść się co żywo na szalupy. Ludzka siła nie zagasi pożaru, dokona tego morze samo, gdy pociągnie okręt na dno fali.

Scena ta oddana w przerażający sposób. Zimna krew kapitana i prostych marynarzy, gotowych pełnić powinność, w obec groźnego niebezpieczeństwa, trwoga podróżnych, krzyk kobiet i dzieci,

wszystko to razem tworzy jaskrawy, pełen rzeczywistości obraz. Podczas, gdy majtkowie pchają jednych, niosą drugich na łodzie, z wysokiego komina dym wali się coraz grubszemi kłęby. Powstaje straszliwy łoskot, olbrzymi kocioł pęka, zatlony proch wyrzuca w powietrze części rozsadzonego parostatku. Pożar z całą wybucha gwałtownością, czerwieni morze najjaskrawszemi barwami. W głąb tych fal płomienistych, zanurza się *Krokodyl*, pociągając z sobą dzielnego porucznika Boywick. I w oka mgnieniu wszystko gaśnie, widać tylko na szerokiej przestrzeni błękit pogodnego nieba i szereg łodzi kołyszących się na falach. Dekoracya ta prawdziwie czarodziejska.

(*Dokończenie nastąpi.*)

# TEATR.

**Arrya i Messalina**, tragedya w 5 aktach A. Wilbrandta, w przekładzie K. Kaszewskiego.

Na scenie naszego Teatru Wielkiego, przedstawioną została rzecz dawno niewidziana, tragedya, która dla wielu chciwych silnych wrażeń targających nerwami jak nićmi pajęczemi, była prawdziwą niespodzianką wielce przez nich pożądaną.

Treść do tego użyto z czasów upadającego Rzymu, gdy stary porządek w gruz się rozsypywał, nowy nie powstał jeszcze a ludzkość szalała w rozstroju i rozpaczy. Mała tylko garstka rzymskich obywateli, żyła jeszcze ożywiona tchnieniem dawnej potęgi moralnej stolicy świata, i ta to w utworze tragicznym Wilbrandta, występuje jako stara, dzika cnota Rzymu, w starciu z zepsuciem owczesnem posuniętem do potworności.

Na tronie cezarów siedzi Klaudyusz, stary niedołęga, rozkochany w żonie swej Messalinie, najwyuzdańszej z heter świata, która imię swe zapisała bezwstydem, hańbą i okrucieństwem.

Rozkoszy życia szukała wszędzie bez względu na miejsce i stanowisko wybrańców, na których spojrzenie ócz jej pożądliwych padło. A z tego rozpasania nie robiła żadnej tajemnicy, z bezczelnością trudną do uwierzenia, bluźniła bogom, ziemi rodzinnej, cnocie i bez rumieńca wstydu tłumom się pokazywała.

Naprzeciw takiej kobiety w tragedyi stoi Arrya, matrona wierna starej tradycyi, w której cnota góruje nad wszystkiem. Patrząc na ogólne zepsucie, ze zgrozą spogląda na złych, z trwogą na przyszłość, a z przerażeniem na Messalinę. Mąż jej Cecyn Petus, rzymianin starej daty, strwożony rozpasaniem Rzymu i poniżeniem majestatu cezarów, zawiązuje spisek, który wydaje się i Cecyn Petus przywieziony zostaje do Rzymu, aby uledz badaniu Messaliny i śmierć ponieść jaka już dotknęła towarzysza jego Seribonianusa. Za mężem i ojcem przybywa do Rzymu żona jego Arrya i syn Markus, cały przejęty nienawiścią do Messaliny, sprawczyni ich niedoli.

Wypadek chce, iż Messalina w jednej z wycieczek swych nocnych spotkała Markusa... Wdzięk młodości przedstawiającej się w całej pełni życia, zwrócił jej uwagę.

Młodzieniec oszołomiony urodą nieznajomej, naznaczoną sobie schadzkę przyjmuje z zapałem, stawia się na czas oznaczony, nie pytając się kto jest ta tajemnicza istota i jak się nazywa. Wreszcie przytomność wraca, młody zapaleniec pyta się:

— Kto jesteś?

— Jestem Messaliną — odpowiada cezarowa.

— Messaliną! — z krzykiem woła Markus — ową Messaliną okrutną i bezwstydną? Jam Markus, syn Petusa, którego na śmierć skazałaś! spadkobierca jego wielkich pragnień! syn Romy gardzącej heterą na tronie.

Mimo tego głosu sumienia, przemawiającego w imię najświętszego uczucia, szał wraca, Markus zgina kolano przed rozpustnicą, a ta w nagrodę ułaskawia ojca na śmierć skazanego.

Matka Arrya dowiaduje się o tem; wracającego syna nad ranem przyjmuje z oburzeniem matki obywatelki.

— Shańbiłeś się — powiada do niego — nie jesteś już synem twego ojca Cecyny Petusa. Jutro Messalina ciebie mającego żyć dla chluby naszej, ogłosi publicznie kochankiem i zmusi żyć w brudzie hańby, w jakiej sama się tarza. Ojciec twój wystąpił z nią do walki, w tobie miał znaleźć mściciela a znalazł... zdrajcę! Bądź przeklęty!

— Matko! — przerywa Markus — przestań, bo patrząc w przepaść w którą wpadłem, sam siebie przeklinam. Radź więc, radź, co mam robić!

— Umrzeć! — odpowiada Arrya, prawdziwa matka rzymianka.

— Synu! lepsza śmierć jak hańba, umieraj więc!

Markus wypija truciznę, Messalina przybywa ale zastaje już tylko trupa.

— To ja mu umrzeć kazałam! — woła Arrya— aby całunem śmierci starł z siebie hańbę twej miłości.

Messalina jak śmiertelnie raniona lwica, szalona gniewem, unieważnia ułaskawienie męża jej Petusa i każe mu natychmiast przy sobie śmierć sobie zadać.

Ale Petus złamany chorobą, pognębiony nieszczęściem własnem i publicznem, nie ma odwagi wyroku spełnić.

Widząc to Arrya, aby go ośmielić, przebija się sama.

— No, Petusie — mówi — dalej śmiało, patrz to nie boli.

Ginie więc i Petus, Messalina tryumfuje.

Ale ukoronowana hetera, rozpasana do ostateczności, według słów Tacyta nieulegających żadnej wątpliwości, na parę dni wprzódy poślubia dawnego swego kochanka Siliusa.

Jak się to stać mogło, historya nie objaśnia, dość że zaślubiny za życia męża odbyte, równie dziwne jak potworne, miały rzeczywiście miejsce. Klaudyusz przez spiskowców zawiadomiony o tem, wydaje na wszetecznicę wyrok śmierci, co ogłasza jej Narcyz, poufny cezara a zarazem i spiskowiec. Messalina struchlała, widząc się otoczoną przez nieprzyjaciół, miota się rozpaczliwie, szuka ocalenia ale Narcyz lękając się, aby cezar nie zmienił swej woli, przebija ją mieczem.

Tragedya ta wystawiona z troskliwością dotąd prawie nieznaną w dramatach i komedyach, chlubne wydaje świadectwo o staranności p. Tatarkiewicza jako reżysera. Dekoracye prawie wszystkie były nowe, kostiumy to samo, a wszystko wystudyowane archeologicznie z przepychem prawdziwie rzymskim. Oceniając tę staranność, publiczność przywołała p. Tatarkiewicza kilkakrotnie, darząc go sutemi oklaskami.

O grze artystów niewiele mamy do powiedzenia. Była ona bardzo staranną, wystudyowaną, czasami tylko przebijał się brak prawdy, zawsze w scenicznych utworach potrzebnej a szczególniej w tragedyach większego zakroju, przygotowanych z treści historycznej tak odległej epoki. Trudne to było niezmiernie zadanie dla artystów mało mających sposobności do rozwijania swego talentu na utworach prawdziwie tragicznych. Publiczność w tego rodzaju przedstawieniach nie gustuje widocznie, bo gdy na farsę jaką upodobaną przez siebie po raz trzydziesty i więcej zapełnia całe wnętrzne teatru, tu już drugie przedstawienie Messaliny miało liczne szczerby w lożach, a na trzeciem połowa tylko sali była zapełniona.

Tragiczność na scenie nie ma wielu zwolenników. Przeważając w życiu ustępuje miejsca komizmowi choćby płaskiemu byle mającemu pozór wesołości, byle było z czego się rozśmiać i zabawić małą chwilkę. Taki duch czasu, tragedya jednak wróci do praw swoich, gdy mniej będzie troski o jutro i więcej w niego pewności.

*J. G.*

# WIADOMOŚCI

## z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Zdaje się, że w tegorocznym karnawale pomimo stękań i narzekań, Warszawiacy na brak zabawy żalić się nie będą. W domowych zebraniach nie brakuje do tego ochoty, publicznych bali przygotowuje się dosyć a przynajmniej wiele o nich mówią, w cyrku zaś zabawy taneczne z opłatą dwuzłotówkową miały wielkie powodzenie. Lud tam bawił się ochoczo; hulał z całym zapałem młodości radującej się życiem i jego ponętami; z galeryi przypatrywano mu się z zajęciem i dziwiono się, że może tak weselić się... bez sutego traktamentu i burdy prowadzącej do cyrkułowej klatki.

W wyżynie społecznej inaczej się to wszystko odbywa. Gromadzimy się na taneczne zabawy, ale dopiero o północy stajemy w całym komplecie i obejrzawszy się od stóp do głów, dla przyzwoitości pokręciwszy się w polce lub walcu, a dla udania wesołości stuknąwszy niby ochoczo chołupca w mazurze, po wieczerzy... fiut! w trzy godziny, a w cztery najdalej już jesteśmy w domu z powrotem.

W cyrku lud zbiera się o siódmej wieczorem, muzyka brzmi ciągle, tańce na chwilę nie ustają i hasałby do rana z jednym zawsze zamachem, gdyby mu pozwolono.

I widocznie w tych uciechach kilkodniowych żadnego nie zdarzyło się wybryku przeciw porządkowi publicznemu, kiedy nawet reporterzy wszelkiego rodzaju Kuryerów i Tygodników humorystycznych, ograniczyli się tylko na suchem doniesieniu o odbytej zabawie, bez wydrwiwania jej i illustrowania obrazkami scen niebywałych ukutych w własnych ich mózgownicach.

Postęp to wielki. Dawniej nie tak bywało, z ludu robiono poczwary, w opisach jego obejścia niby dowcipkowano. . a zapomniano, że kłamstwem potwarczem krzywdząc lud, wyrządzają szkodę wielką całej społeczności.

Już to o głębokość myśli goniących za nowinkami posądzać bardzo niemożna. Wszystko dla nich dobre co daje powód do łajania i kiwania... palcem w bucie.

Niedawno dorożkarze warszawscy trudność zarobku przypisując wysokiej taksie ceny kursu, zrobili do władzy podanie po raz drugi o jej zniżenie.

Odmówiono im tego, a reporterzy w śmiech i dalej wołać zacierając ręce:

— Aha! dobrze wam, władzcy kozła i dzierżyciele bicza! Dawniej darliście nas ze skóry co się zmieściło, teraz liżcie łapy i skrobcie się w głowę z frasunkiem. Otóż przyszła kryska na Matyska!

I biedakom zakłopotanym o byt własny i rodzin do wykwintu nieprzyzwyczajonych, zamiast politowania rzucono szyderstwo, niepomnąc, że ciesząc się z ich biedy sami się z własnej naśmiewają. Dorożkarze bowiem narzekają bo Warszawiacy mało się nimi posługują, a ci jakże nie mają tego robić, kiedy dochód prawie każdego o połowę się zmniejszył?

Drwisz więc Tomku we własnym domku i dziś zmuszony dreptać pieszo, kto wie czy jutro na bosaka nie popędzisz za nowinkami, kuląc się i chuchając w ręce.

**Z ostatnich dni zeszłego roku**, liczne grono osób, należących w przeważnej mierze do zamieszkałych stale w Warszawie gości z za Niemna i Bugu, zebrało się w jednym z domów przy ulicy Marszałkowskiej, w celu obdzielenia podarunkami kolendowemi tłumnej rzeszy biednych dzieci.

Przeszło sześćdziesięcioro dziatwy, zebranej około strojnej choinki, otrzymało dary, z których każdy składał się z garnituru ciepłej odzieży, bielizny i obuwia, porcyi mięsa, pieczywa, masła, sera, herbaty i cukru, oraz obfitej ilości tradycyjnych na święta obecne łakoci.

Jednem słowem, nie była to zdawkowa zabawka w miłosierdzie, lecz rozumne wsparcie niedoli.

Zwyczaj zaś taki w wspomnianem kole towarzyskiem, ustalił się i trwa ciągle od lat już kilku za inicyatywą pań i panien, które same rokrocznie zajmują się przytem sprawdzeniem na miejscu rzeczywistego ubóstwa odbierających wsparcie rodzin i zbieraniem ofiar w pieniądzach i naturze, uskutecznianiem zakupu wszelkich produktów i nawet własnoręcznie szyją całą odzież i bieliznę dla biednej rzeszy.

W całem wykonaniu tego zbiorowego aktu miłosierdzia ujawnia się tendencya emancypacyjna, cały bowiem „komitet" kolendowy zazwyczaj niemal wyłącznie z młodych panienek się składa.

Któż jednak takiej „emancypacyi" nie przyklaśnie i za godną naśladownictwa nie uzna?

A zatem...

A zatem... zostawiamy dokończenie wątku naszej myśli domyślności naszych Czytelniczek...

W Rumunii wydarzył się fakt dość wyjątkowy, w którym główną rolę odegrywa królowa Elżbieta, inaczej *Carmen Silva* zwana.

Pani ta obdarzona niezaprzeczonym talentem pisarskim, a co więcej uczuciami prawdziwie obywatelskiemi, nietylko pozornie wnika w to wszystko, co warunków bytu obywateli rumuńskich dotyczy, ale jako autorka, poetka, zwraca szczególną uwagę na rozwój oświaty w Rumunii, a jako kobieta, specyalnie troskliwość tę skierowuje ku zakładom naukowym żeńskim, pieczołowicie się niemi zajmując.

Odwiedzając je często w Bukareszcie, uważała iż historya literatury w miejscowem gimnazyum żeńskiem wykładaną jest źle i że wychowanice zakładu nie odnoszą z nauki tej odpowiedniej korzyści. Będąc znawczynią wyborną obcych literatur, królowa sądziła tę rzecz kompetentniej aniżeli ktokolwiek inny.

Zwróciła się też do małżonka swego z wyjaśnieniem tego, co w gimnazyum znalazła, prosząc go jednocześnie o radę i pomoc.

— Odnajdź pani nauczyciela lepiej uzdolnionego, odrzekł królewski małżonek, a resztę biorę już na siebie i przyrzekam wpłynąć na ministra oświaty, iż kandydat twój obejmie wykład, o który chodzi.

Rzecz wszakże okazała się daleko trudniejszą aniżeli królowa zrazu sądziła. Kandydatów wprawdzie było wielu, nie odpowiadali oni jednak wymaganiom.

— Trudna rada — rzekła wreszcie królowa — muszę się podjąć sama choć na rok jeden wykładu w gimnazyum, własnym przykładem wskażę czego chcę i czego zatem wymagać mam prawo.

Słowo to nie zostało w niezgodzie z czynem, a król widząc niezłomność postanowienia królowej uległ jej woli.

Monarchini rumuńska od 1 Stycznia r. b. występuje tedy jako nauczycielka. Do charakteru tego ściśle się chce zastosować. Uczenicom z góry zapowiedziano, ażeby na lekcye, królowej, które przypadać będą cztery razy tygodniowo, przychodziły jak na inne zwykłe lekcye, a jedyną cechą wyróżniającą takowe będzie obecność na nich stenografki i jednej z frejlin królowej.

Taki rys dodatni emancypacyi niewieściej daje nam królowa rumuńska...

**Panowanie dziewicy.** Pod takim tytułem paryzkie „Figaro" daje nam rys francuzkiej dziewicy, takiej, jaką ją uczyniła ostatnia wojna. Do tej epoki, kobiety francuzkie z powodu ciasnego widnokręgu, w jakim wychowanie więziło ich umysł, oddane były przeważnie strojom i uprawianiu lekkiej, salonowej miłostki, odwodzącej ich serce od surowych obowiązków. Smutne jednak próby przez jakie przeszło społeczeństwo, oddziałały także dodatnio na kobietę francuzką. Wzięła się ona poważnie do nauki i widzimy dziś wiele córek high-lifu, które uczęszczają pilnie na tak zwane „cours", gdzie profesorowie obznajmiają ich z zasadami historyi, geografii, literatury, nauk przyrodniczych, a nawet anatomii, o tyle o ile ta ostatnia nie razi wrodzonych uczuć skromności niewieściej. Po ukończeniu takich kursów, niejedna słuchaczka zapragnęła złożyć egzamin ze zdobytej wiedzy i zaopatrzyć się na wszelkie odmiany losu, patentem bakalaureatki. Panna Rotszyld była jedną z pierwszych, która poddała się tej próbie. Inne znowu poświęcają się talentom. Utytułowane artystki chętnie zawieszają swe obrazy na wystawach i długiemi eleganckiemi paluszkami pokonują trudności muzyki, słusznie zwanej przez Goncourt'a „mszą miłości". Salony paryzkie zalane są obecnie powodzią dźwięków. Chóry i towarzystwa muzyczne mnożą się z dniem każdym, w koncertach na cele dobroczynne przyjmują udział całe zastępy prawdziwie utalentowanych amatorek, a wiele nawet panienek zagłębia się w tajemnice harmonii i kontrapunktu. To też i do życia towarzyskiego, podniesienie umysłowego poziomu dziewicy francuzkiej wprowadza nowy czynnik. Dotychczas stosunki salonowe ograniczały się na flirtcyi z mężatkami; panny, pozostawione w zaniedbaniu, myślały tylko jakby na łodzi małżeńskiej wypłynąć co prędzej na pełne morze hołdów i powodzeń. Dziś, wykształcenie wskazuje kobietom inne upusty dla głowy i serca. To też i banalna rozmowa salonowa, od której mężczyzni uciekali do buduarów półświatka, zaczyna stawać się wymianą myśli i przekonań. Jakie pokolenie żon i matek utworzą te szeregi panieńskie, kroczące teraz po drodze postępu? Czy pójdą śladami amerykanek, które, zostawiając po tamtej stronie oltarza wszelaką flirtacyą, oddają się obowiązkom domowego ogniska? Oby nagromadzony zapas wiedzy matek, wzbogacił umysł i serce przyszłych pokoleń! Takiem życzeniem witamy sympatyczny kierunek, pojawiający się wśród kobiet francuzkich.

**Leczenie magnetyzmem.**

Od pewnego czasu nastąpiło w naszem mieście kilka zadziwiających uzdrowień osób, dotkniętych paraliżem, jak się zdawało nieuleczalnym.

Uzdrowień tych dokonał p. Ch. za pomocą stosowania magnetyzmu zwierzęcego, w połączeniu z masażem.

Jak nas zapewniają osoby wiarogodne, p. Ch. nie używa żadnych szarlatańskich sposobów, lecz poprostu magnetyzuje paralityków, którzy od pierwszego posiedzenia poczynają doznawać znacznej ulgi.

Magnetyzer stale mieszka w Lublinie i tylko uproszony, przyjeżdża do Warszawy.

Przed parą tygodniami p. Ch. uzdrowił p. N., którego lekarze uważali za stanowczo nieuleczalnego, a p. T., młody człowiek, również znajdujący się bez nadziei powrócenia do władzy w rękach i nogach, dzięki kuracyi magnetycznej, z każdym dniem czuje się lepiej.

Pan Ch. ma być niepospolitym magnetyzerem i z Ochorowiczem pozostaje w ciągłej korespondencyi, dotyczącej wzajemnych spostrzeżeń w dziedzinie magnetyzmu.

**Budżet Watykanu.** Dzienniki rzymskie ogłaszają budżet Watykanu na rok 1887. Podług budżetu przedstawionego papieżowi przez kardynała Theodoliego, dochody Ojca świętego wynoszą teraz 7 milionów lirów rocznie, a mianowicie: świętopietrze 1 i pół miliona, kapitały deponowane przez Piusa IX w bankach angielskich 4 i pół miliona, a czynsz dzierżawny z dóbr papieskich jeden milion. Wydatki wynoszą natomiast 8 milionów. Ponieważ deficyt obliczono na milion, papież zarządził, ażeby w przyszłym roku nie wykonywano nowych budowli w Watykanie.

---

## Z dziedziny humorystycznej.

NIEWINNA POMYŁKA.

Raz na stypę do Marcina,
Zjechała się szlachty chmara,
Gospodarz dosadził wina,
Aż z czupryn kurzyła para.

Przy kielichu i gawędzie,
Jakoś czas ucieka skory,
Wtem ktoś krzyknął dosyć będzie!
Bo już dzwonią na nieszpory.

Nasza szlachta, choć pijana,
Lecz jak dzwon na pacierz wola,
Choćby była rozchulana,
Zaraz spieszy do kościoła.

Najpijańszy był pan Michał,
Kościół się z nim wciąż obracał,
Bił się w piersi, ciężko wzdychał,
Aż czołem ławki domacał.

I jak sobie zasnął miło,
A organy mu w uszach brzmiały,
Coś mu się o winie śniło...
Gdy wtem... ucichł kościół cały...

I tem się właśnie przecucił...
Lecz był w rozmarzonym stanie,
A ksiądz w tym czasie zanucił,
Wśród ciszy: Do Ciebie Panie!

Szlachcic się zerwał na nogę,
I wrzasnął jak gdyby z miecha:
— Dalibóg! ja już nie mogę!
Pij wasińdziej do Wojciecha.

* * *

W Berlinie opowiadają następującą anegdotkę:

Na posiedzeniu komisyi rekruckiej, jednego dnia prezydował feldmarszałek Moltke. Wtem pod miarę postawiono spisowego z oczami niezmiernie zezowatemi.

— Tego człowieka nie można przyjąć do wojska — odzywa się lekarz przy poborze znajdujący się.

— A to dlaczego? — pyta Moltke.

— Bo bardzo zezowaty, nie to widzi na co patrzy ale przeciwnie...

— Taki najlepszy — przerywa Moltke — i właśnie takich nam potrzeba, co mierzy w prawo, gdy w lewo uderza.

— Wezmę go do dyplomacyi — odezwał się ks. Bismark z uśmiechem, a z pewnością wkrótce wyrośnie na dygnitarza.

* * *

Postęp wszędzie widoczny, nawet złodzieje tak się wyćwiczyli w swojem rzemiośle, że okradają tych, o rabunku których dawniej ani pomyśleli.

Niedawno do piwnicy wice króla Irlandyi lorda Londondery, wlamano się w niepojęty sposób i skradziono 130 koszów butelek z winem. Lord zmartwiony, zrobił w pismach następujące ogłoszenie:

„Nie przypuszczam, aby panowie złodzieje, którzy ukradli mi wino, umieli ocenić jego wartość. Podarowane bowiem zostało domowi memu przez monarchów i godne jest aby go pili cesarze i królowie. Proszę więc o przysłanie jakiego człowieka do mego mieszkania, któremu słowem honoru zaręczam wszelkie bezpieczeństwo i zobowiązuję się mu za każdą butelkę, którą mi odniesie z nienaruszoną pieczątką, zapłacić bez różnicy gatunku, jedną gwineę gotówką. Wino bowiem moje naturalnie, że zostanie sprzedane, dlaczegóżby mnie więc nie miano oddać pierwszeństwa."

Czy odezwa skutek odniosła niewiadomo, ale jeżeli bezpieczeństwo publiczne będzie się rozwijać w stosunku przeciwnym sprytowi złodziejskiemu, to jedynym ratunkiem będzie... opłata asekuracyjna.

* * *

Wyborną historyę opowiadają sobie w petersburskich kołach muzycznych o Buelowie i Rubinszteinie.

Gdy kilka miesięcy temu pierwszy z nich zaproszony został do dyrygowania koncertami tamtejszego towarzystwa muzycznego, wszedł na pierwszą próbę z tajemniczą jakąś paczką pod pachą.

Gdy z wielką uroczystością odwinął takową, ukazało się kilkadziesiąt niebieskich ołówków, które Buelow rozdał między członków orkiestry z prośbą, motywowaną w długiej przemowie, by za pomocą tego daru, zechcieli sobie zapisywać jego uwagi lub zmiany wprowadzone do pojedyńczych głosów.

Gdy po wyjeździe Buelowa, Rubinsztein objął ponownie swe stanowisko dyrektora, zjawił się również na próbie z tajemniczą jakąś paczką.

— Słyszałem, że pan Buelow ofiarował panom ołówki do zapisywania jego uwag i zmian, więc i ja przynoszę panom dar, którego proszę użyć do wytarcia owych zapisek — rzekł i ukazał kilkadziesiąt kawałków gumy.

* * *

Z HEJNEGO. (*)

Kto majątek wielki ma,
Jeszcze mu przybędzie w trzos;
Kto ma mało straci wnet,
Co mu w darze złożył los...

Jeźli jednak nie masz nic,
Błaźnie! przebij serce wskroś,
Gdyż żyć wolno tylko tym,
Co w kalecie mają coś...

Z NIE-HEJNEGO

Kto majątek wielki ma,
Może on mu runąć w pył;
Kto ma mało, wzrośnie wnet,
Byle tylko skrzętnym był.

Jeźli jednak nie masz nic,
Bracie zwalcz rozpaczy szał,
W własną pracę silnie wierz,
A na życie będziesz miał.

*Józef Niemir.*

(*) Kuryer Codzienny.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

*P. Maryi Moczarskiej w Lipowcu.* Za pamięć i życzenie serdeczne przesyłamy podziękowanie. Opłatek symbol braterstwa chrześciańskiego, niewymowną nam zrobił przyjemność. Jakże to dar wielkiego znaczenia, którego myśl gdyby ogarnęła ludzkość jakże inaczej byłoby na świecie.

Zbieranie marek pocztowych stało się niemal namiętnością niczem niezaspokojoną. Zbiera je wiele osób, ale po co, dla kogo i na jaki użytek, nikt dokładnie nie umie objaśnić. Jeżeli zaś poda bliższe wiadomości o kupujących marki, to z tymi do ładu dojść niemożna. Przynajmniej nie znamy nikogo coby marki sprzedał i wziął za nie pieniądze.

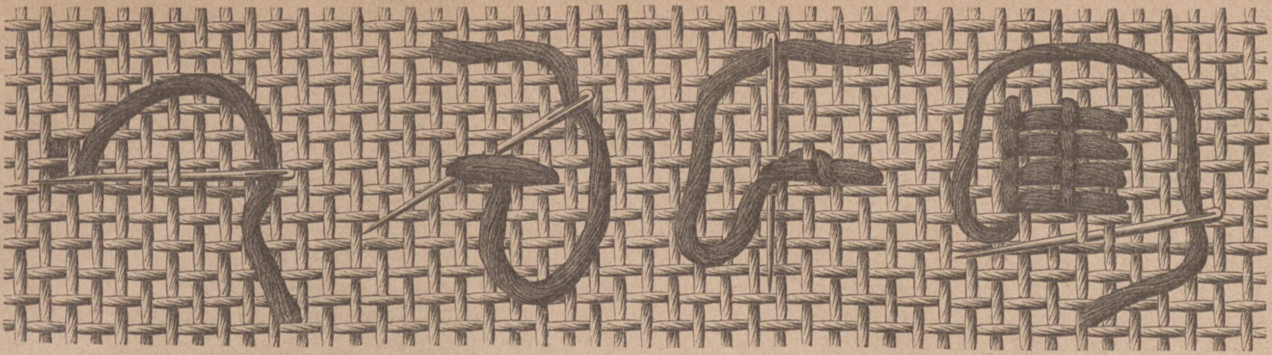
Zebrane jeżeli przysłane zostaną oddamy p. G. zapalonej zbieraczce marek i już mającej ich przeszło sto tysięcy.

# ZAWIADOMIENIA.



Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Декабря 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.



N. 1. Wskazanie wyszycia ściegiem renaissance. Patrz ryc. 9—11.



N. 2. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz r. 6 w N. 1.

## Opis do N-ru 2.

*(Dokończenie.)*

**N. 4. Pończochy** z wstawką koronkową.

Rycina 4 przedstawia pończochy cieniutkie niciane (fil d'Ecosse) w paski białe i czarne, ozdobione w zwierzchniej części trzy razy wszytą 7 cent. szeroką koronką chantilly.



N. 4. Pończochy z wszywką koronkową.

**N. 7—8. Ekran** z ruchomemi taflami. Patrz fig. 76—77.

Postument liczy 98 cent. wysokości a 67 szerokości i ma w środku osadzone na śrubach ruchomych dwie cienkie płyty miedziane, ujęte w gładkie ramki metalowe i pokryte ze strony przedniej porcelanowemi tafelkami na których wymalowane bukiety kwiatów, podług fig. 77. Na płytach miedzianych deseń wypala się serwaserem.

**N. 16. Ubranie** strojne. Krój na arkuszu N. XI, fig. 36—42.

Strojna suknia odrobiona z crêpe de chine z krótkim trenem, służyć może na obiad proszony lub zebranie wieczorne dla młodej mężatki, uszyta bez trenu stanowi ubranie balowe. Spódnica z gładkiej materyi faille zakończona u dołu z przodu dwoma, z tyłu na trenie trzema jedwabnemi falbankami wyciętemi w ząbki, po 10 cent. szerokiemi. Draperya z crêpe de Chine z boków ułożona w podwójne odmienne panier, z tyłu spada na tren nad bufą 35 cent. szeroką, u góry zaś sfałdowana w około wszywa się w pasek wraz z suknią. Przód sukni pokrywa bryt tiulowy 76 cent. szeroki, bogato haftowany perełkami, u dołu podłożony bufą krepową, z prawego boku zakończony szlakiem, z lewego lekko podpięty. Stanik bawetowy sznurowany z tyłu, na biodrach podcięty, kraje się podług fig. 36—42; forma ta z przeciętemi przodami i plecami jest szczególniej korzystna dla osób dobrej tuszy. Cienka linia na fig. 36, 37 i 40 oznacza przyszycie 10 cent. szerokiej riuszy z piór zakończonej wisiadełkami z konchy perłowej; powyżej dana wązka szmizetka z plisowanej illuzyi. Fig. 42 daje formę krótkich rękawków, ułożonych w cztery sute kontrafałdy, po 2 cent. szerokie.



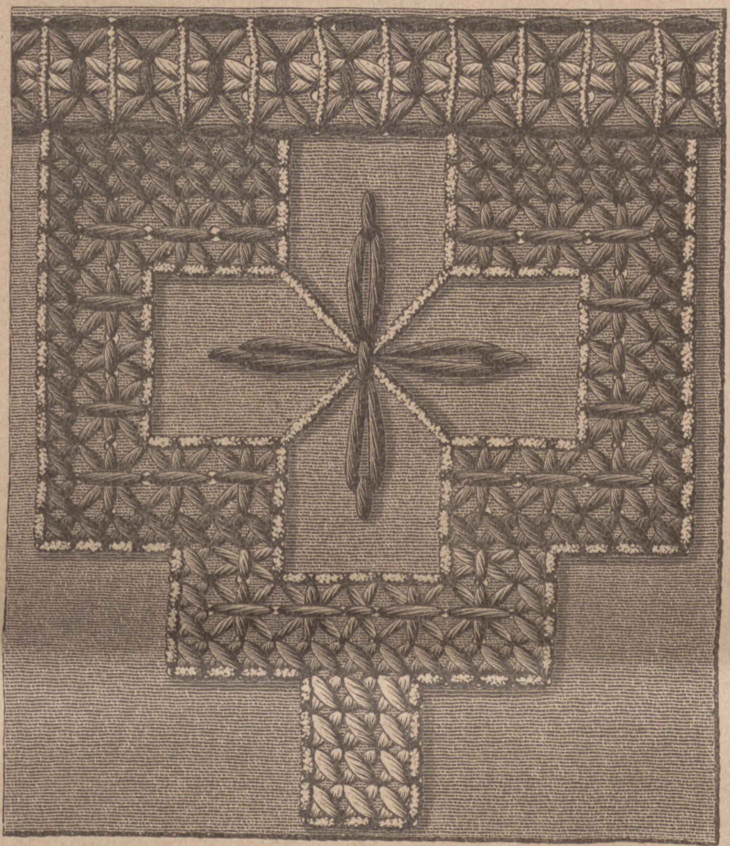
N. 3. Plecy do ryc. 3 w N-rze 1.

**N. 17 i ryc. 21 w N-rze 1. Suknia** suto podpinana.

Spódnica oddzielnie przedstawiona na ryc. 21 w N. 1, dopełniona stanikiem bawetowym z materyi surah, odrobiona jest z różowej surah i takiegoż muślinu, przybrana kokardami z wstążki. Spódnica podszewkowa oszyta u dołu wązkiem jedwabnem plisowaniem, z prawego boku dane plisowanie 25 cent. szerokie, zajmujące wyżej nad połowę długości sukni— lewy bok pokrywa w całej długości bufa, przewiązana kokardami łączącemi brzegi draperyi. Przednia fartuszkowa część draperyi liczy 112 c. długości a 130 szerokóści; sute upięcie tylne wymaga dwóch brytów z materyi, dwóch z muślinu po 112 cent. długich; zszytych naprzemian, sfałdowanych w górze i upiętych podług ryc. 21.

**N. 19. Ubranie** marynarskie, dla dziewczynki lat 7—9.

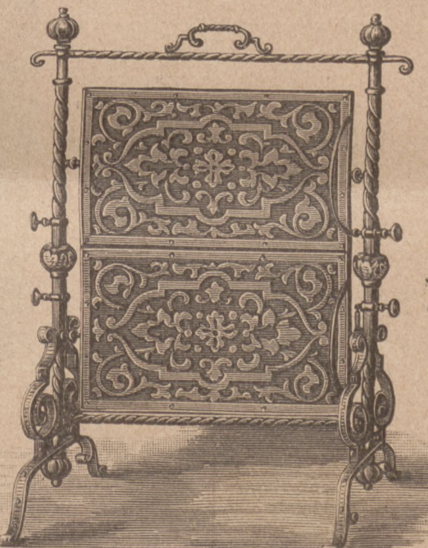
Odrobione z białego lodenu, podług formy bluzy marynarskiej jednakowej dla chłopców i dziewczynek; przody zapięte jednym rzędem guzików, podłużny wykrój szyi dopełniony od spodu plastronem z kolorowem wyszyciem krzyżykowym. Szerokie rękawy przymarszczone u ręki w prosty mankiet. Spódniczka ułożona w kontrafałdy, z jednego boku ma wyszyte dwa pasy między fałdami. Kołnierz



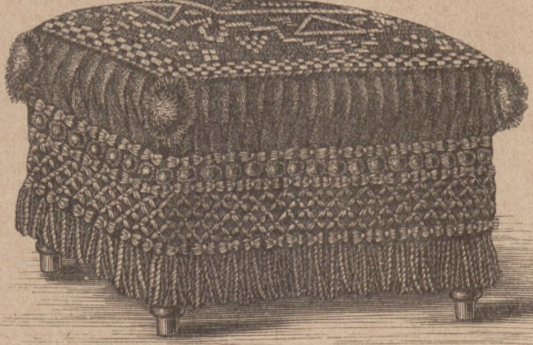
N. 5. Deseń szlaku do ryc. 4 w N-rze 1.



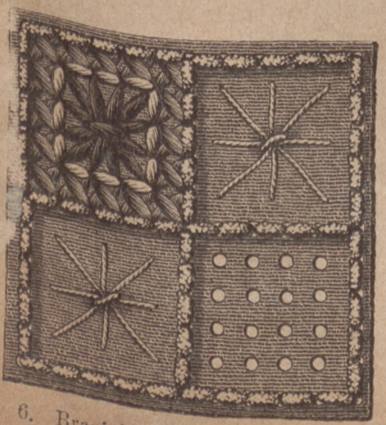
N. 7. Ekran z ruchomemi taflami. Patrz r. 8 i fig. 76—77.



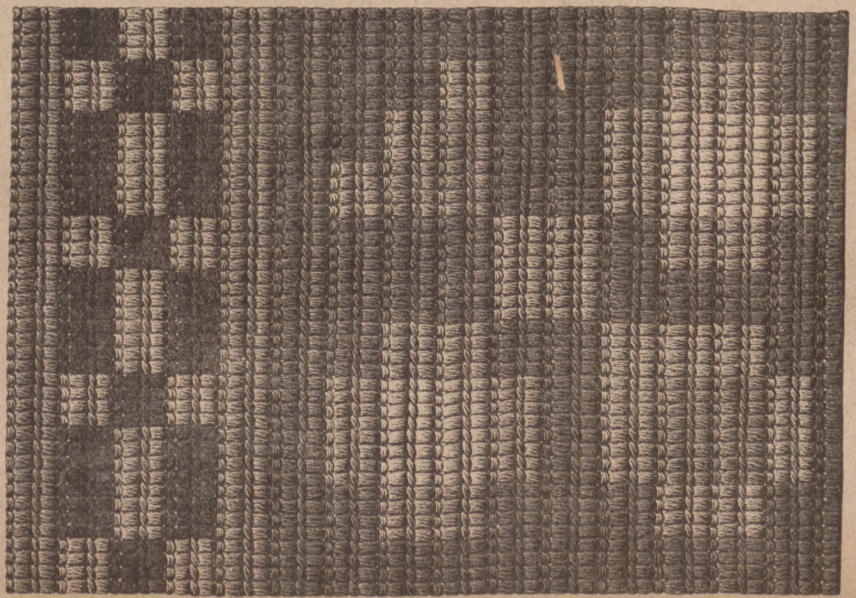
N. 8. Ekran z ruchomemi taflami. Patrz r. 7.



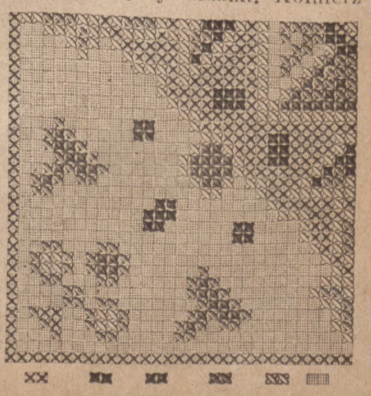
N. 9. Taboret z haftem renaissance. Patrz ryc. 1 i 10—11.



N. 6. Brzeżek do ryc. 5 w N-rze 1. Wyszycie podług wykłutych dziurek.



N. 10. Wyszycie ściegiem renaissance do ryc. 9.




N. 11. Desenik do ryc. 9.



N. 12. Ubranie głowy balowe dla młodej mężatki. Rozeta z illuzyi przepięta bukiecikiem kwiatów.

marynarski zakończony szerokiem wyszyciem; kokarda i szarfa jedwabna.

N. 20. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7.

Krój żakietki znajdą czytelniczki na przeszłorocznych arkuszach z formami, liczy ona 46 cent. długości, otwarte przody odwinięte są w ranwersy u góry 8, u dołu 10 cent. szerokie. Majteczki krótkie z boku zapięte, są z przodu przyszyte do stanika spodniego zapinanego z tyłu, tylne brzegi przypinają się na guziki. Model ubrania był z piaskowego sukna, z kamizelką fałdowaną z materyi w paski popielate i pąsowe. Guziki płaskie metalowe.

N. 21. Ubranie dla dziewczynki lat 6—8.

Sukieneczka biała batystowa ma przody i plecy długiego stanika zapinanego z tyłu ułożone w kontrafałdy 2 cent. szerokie; środkiem przodów dana kamizelka drobniutko plisowana w górze 13, u dołu 10 cent. szeroka, z boków otoczona falbanką haftowaną $4\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Spódniczka 30 cent. długa, 218 cent. obwodu mająca, drobno zmarszczona, przyszywa się do stanika, u dołu zdobią ją drobne zakładki, przedzielone wszywką haftowaną 3 cent. i zakończone falbanką 7 cent. szeroką. Szarfa różowa jedwabna.



N. 22. Suknia zdobna piórami. Opis i krój na arkuszu N. XVII, fig. 74—75.



N. 15. Suknia balowa z trenem. Przód i opis przy ryc. 2 w N-rze 1.

N. 16. Suknia z wyciętym stanikiem. Krój na arkuszu N. XI, fig. 36—42.

N. 17. Ubranie wieczorowe z okryciem. Patrz r. 8 i ryc. 21 w N-rze 1.

N. 18. Okrycie balowe. Patrz ryc. 9 w N-rze 1.

N. 19. Ubranie dla dziewczynki lat 7—9.

N. 20. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7.

N. 21. Sukienka dla dziewczynki lat 6—8.

N. 23. Suknia z draperyą ściętą szpiczasto. Krój na arkuszu N. IX, fig. 30.

Strojna suknia wizytowa ma gładko uszytą spódnicę z adamaszkowej materyi w deseń niebieski z żółtym, z której dany kołnierzyk i plastron; gładki granatowy aksamit użyty na draperyę i stanik. Zwracamy uwagę na oryginalną formę draperyi, podszewkowanej materyą surah, której połowę daje *a* na fig. 30. Szpiczaste rogi przednie spadające gładko, w górze sfałdowane podług znaków wszyte są w pasek. Tylny brzeg nie zszyty na długość rozporka (od 1 do 28) dalej łączy się szwem do 103, jak również i u dołu a róg tworzący się przez to jest niewidocznie przyczepiony do sukni. Bryt dopełniający (*b*) zmarszczony w górze i wszyty w pasek, podpięty jest gwiazdką do gwiazdki. Brzegiem bawetowego stanika przewiązana szarfa z podwójnie wziętej repsowej materyi, trzy metry długa, 11 c. szeroka, ozdobiona na końcach rozetami szmuklerskiemi.

N. 24—37. Ubrania dla lalek. Krój na arkuszu N. XV, fig. 57—71.

Ryciny 26—27 przedstawiają lalkę w postaci chłopczyka w marynarskiem ubraniu, uszytem z granatowego trykotowego materyału; formy dane na fig. 58—63 odpowiednie są na lalkę 38 cent. wysoką, ubranie podszewkuje się i wykończa tak, jakby się szyło do noszenia. Bluza (fig. 61—63) zmarszczona u dołu do 21 cent. i wszyta w pasek 24 cent. długi, $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki; przody zapięte niewidocznie na haftki, przybranie stanowi naszycie z białej płetni dane na kołnierzu, pasku, mankietach i plastronie. Czapka przedstawiona oddzielnie na ryc. 37 składa się z denka trykotowego w kształcie woreczka 28 cent. szerokiego, zmarszczonego i wszytego w pasek 2 cent. szeroki, pod który dana sztywna podszewka; dwa pompony przyszyte z boku. Rycina 32 przedstawia ubranie letnie z szarego płótna, dane oddzielnie i z kapeluszem na ryc. 33—36; kołnierz, mankiety i krawatka dane z pąsowego perkalu. Rycina 28—29 przedstawia paletot z piaskowego lodenu na jedwabnej podszewce, z wykładanym kołnierzem i klapami, zapięty na dwa rzędy. Teka na książki zrobiona z kawałka tektury, 14 cent. długiego, 8 szerokiego z rogami zaokrąglonemi w jednym końcu, który wygina się podług ryc. 31, boki dodane z oddzielnych kawałków po 6 cent. długich, 2 c. szerokich; wierzch oklejony jest brązowym papierem naśladującym skórę, środek glansowanym niebieskim. Klapka zwierzchnia dodana z oddzielnego kawałka tektury pokrytego futrem, z brzegów objętego listewką z pąsowej skórki lub płótna; na rogach wybite są dziurki do zapinania na guziczki, przyszyte u dołu teki. Rzemyki po 20 cent. długie opatrzone w końcach sprzączką, służą do zawieszenia teki.

N. 38. Ubranko strojne.

Na owalnej podstawce ze sztywnego tiulu, oszyte drucikiem i objętej wstążeczką, ułożone jest ubranko z koronki 12 centymetrów szerokiej i z bukietu róż z aksamitnemi liśćmi.



N. 13. Fartuszek szydełkowy. Patrz ryc. 45. Krój na arkuszu N. V, fig. 24.

N. 14. Sukieneczka dla dziewczynki lat 1—3. Patrz r. 16 w N-rze 1. Krój i opis na arkuszu N. XIII, fig. 45—53.

N. 39. Ubranko z koronki i wstążki.

Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu w środku $5\frac{1}{2}$ w końcach 2 cent. szeroki, z brzegu przedniego 23, z tylnego 20 cent. długi, dopełniony tiulowem denkiem półowalnem $12\frac{1}{2}$ cent. długiem, $5\frac{1}{2}$ szerokiem. Na układ wskazany na ryc. 39 wychodzi 110 cent. koronki haftowanej écru, 14 cent.



N. 23. Suknia ze szpiczastą draperyą. Krój na ark. N. IX, f. 30.

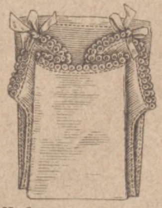


N. 24. Szlaczek ściegiem luźnym.

szerokiej. Kokardy z jasno brązowej wstążki z brzegiem w pikóty, 5 c. szerokiej.

## N. 40—41. Pompon włóczkowy.

Ponieważ obecnie pompony używane są do ozdoby rozmaitych przedmiotów, podajemy więc sposób ich roboty. Bierze się odpowiednio do potrzebnej wielkości grubszy lub cieńszy prómień równo przyciętej włóczki, przewiązuje go się mocno podług ryc. 41, w odstępach od 2 ½ do 5 cent i przecina następnie włóczkę w odstępie między związaniami. Pozostałe ztąd kulki czesze się grzebykiem, obcina w około do okrągłości, dla ostatecznego wyrównania trzyma nad parą, przyczem wystające nitki odznaczą się do przycięcia nożyczkami.



N. 30. Koszulka. Krój na arkuszu N. XV. fig. 57.

## N. 44. Serweta z deseniem wypalanym.

Rycina 44 przedstawia serwetę odpowiednią do przykrycia szkatułki ze srebrem, zarzucenia na poręcz od sofy, lub powieszenia na ścianie. Model ze skóry baraniej w najlepszym gatunku liczył 138 cent. długości, a 63 szerokości i miał brzegi zakończone pomponami z brązowej włóczki, podszewkę stanowi satynka brązowa. Efektowny deseń wypalony na skórze, wykonywa się w ten sam spósób jak wypalanie kwasem na drzewie.



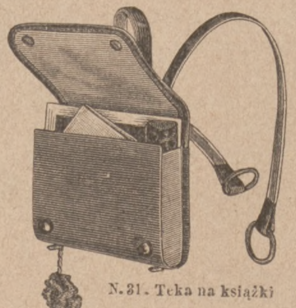
N 38. Ubranko strojne.



N. 26. Lalka w ubraniu marynarskiem. Patrz ryc. 27. Krój na arkuszu N. XV fig. 58—63.



N. 28—29. Paletot dla lalki. Krój na arkuszu N. XV fig. 68—71.



N. 31. Teka na książki



N. 27. Plecy do ryc. 26.



N. 32. Ubranie płócienne dla lalki. Patrz ryc. 26 i 33—36.



N. 33-36. Ubranie letnie i kapelusz dla lalki.



N. 37. Czapka dla lalki r. 26.

## Przepisy gospodarskie.

**Tort makowy.** Zamoczyć funt maku, jeżeli można na noc, jeżeli zaś to być nie może, to na kilka godzin przed utarciem, jeżeli zaś większego wymaga pośpiechu, to na chwilę wrzucić do wody wrzącej. Jakimkolwiek sposobem się przyrządza, należy go po wymoczeniu wymyć kilka razy i przez sito przecedzić do czysta, potem utrzeć jak najmocniej, wprzód na sucho, a potem dolewając po trochu słodkiej śmietanki, której być powinno 3 kwaterki. Do utartego maku przydać częściami 30 żółtek, funt cukru, otartą z 2 cytryn skórkę i funt kartoflanej mąki: a gdy wszystko, nie licząc w to ucierania maku, wyrobi się w jedną stronę przez godzinę, przydać tęgiej piany z 18 białek. Potem przełożyć massę do formy masłem wysmarowanej i wysypanej bułką i zaraz sadzić do pieca.

**Obwarzanki** parzone innym sposobem.

Wziąć półkwarty mleka gorącego, filiżankę topionego masła, zaparzyć tem półkwarty mąki, wyrobić dobrze nad żarem, póki ciasto nie przyżółknie. Gdy przestygnie, wbić po jednemu jaj 10, i robić z tego obwarzanki.



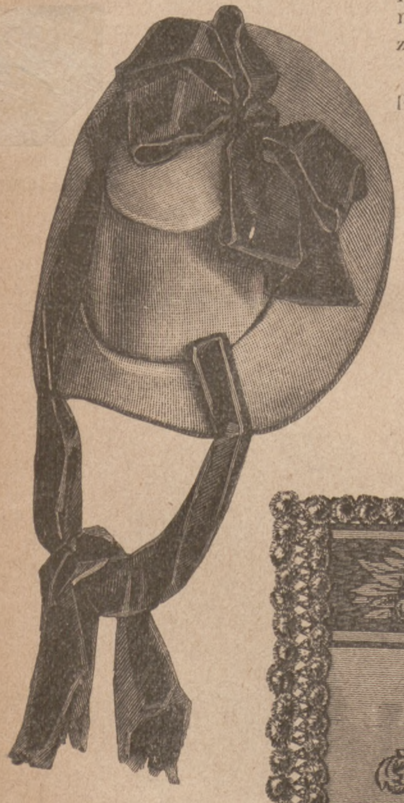
N. 25. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.



N. 39. Czepeczek z koronki i wstążki.



N. 40. Pompon włóczkowy. Patrz r. 41.

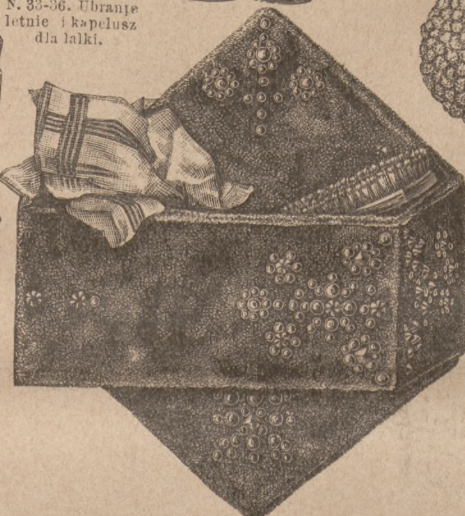


N. 42. Kapelusz filcowy dla młodej panienki. Patrz ryc. 28 w N. 1.

## N. 46—47. Serweta z wyszyciem sznureczkowem

i ściegiem płaskim. Deseń patrz fig. 78-79.

Tło z grubego płótna liczy 143 cent. długości a 61 c. szerokości; brzegi podłużne zakończone są wązkim obrąbkiem; jeden brzeg poprzeczny obrąbiony na 2 cent. szeroko kratką ażurową, oszyty koronką 5 cent. szeroką, powyżej ozdobiony gwiazdkami haftowanemi podług r. 47 i literami podług fig. 79. Drugi brzeg poprzeczny wycięty jest w trzy zęby, po 19 c. szerokie, wązko obrębione i oszyte niciana koronką. W każdym zębie wyszyta jest rozeta ściegiem sznureczkowym i paskim, bawełną pąs. której czwartą część daje f. 78



N. 43. Szyfonierka na ściereczki od kurzu.



N. 37. Kapelusz okrągły.



N. 44. Serweta. Deseń wypalany na skórze.



N. 41. Wiazanie pomponów. Patrz ryc. 40.



N. 45. Robota szydełkowa do fartuszka ryc. 13.



N. 46. Serweta z wyszyciem. Patrz ryc. 47 i fig. 78—79.



N. 47. Gwiazdka do ryc. 46.